

Rzeka



Płasko, płasko. Ale w oddali majaczą Sudety.



Znak naszych czasów



Plantacja groszku



Trasa wzdłuż rzeki



Kilka odcinków wyglądało w ten sposób i były to warunki z tych raczej łagodnych



29,2 km

Mogłem całą sobotę przeleżeć, bo powodów miałem kilka. Jednym z nich było 30 kilka stopni Celsjusza w cieniu, a innym niemoc z powodu infekcji, co mnie powoli rozkładała. Powodem mogło być też to, że byłem u mamy i miał się kto dziećmi zajmować. Ale mimo to spałem pośladki i o 14-tej wstałem z wyra. Do plecaka wrzuciłem wodę i parę przekąsek i poszedłem sprawdzić, co się zmieniło w moich rodzinnych stronach. Towarzyszyła mi myśl:

„Dam sobie wycisk w taki upał to wirusa na pewno zabiję. Albo sam umrę.”

Prosto z domu wychodzę w pola, gdzie na górze mijam dziką czereśnię. Garściami nachapię się owoców i upieprzony sokiem ruszam w dalszą drogę. Już po 100 metrach znów przystanąłem, bo mnie urzekła plantacja groszku. Czereśnie były raczej dzikie, ale groszek to już normalnie szabrowałem, więc smakował przez to jeszcze bardziej wyjątkowo. Jak tak dalej pójdzie to daleko dziś nie zajdę.

Wzdłuż obwodnicy, której jeszcze niedawno nie było docierałam nad rzekę. W miejscu, w którym za dziecka rozkładałam namiot i biegałam z wędką otoczony jedynie przez przyrodę teraz przebiega co innego – wiadukt. Przedziwnego doznałam uczucia, widząc tak zmieniony krajobraz. Brzeg wyrównany, wierzby wycięte. 20 lat spędzonych z dziką przyrodą to już tylko wspomnienie, bo to już nigdy nie wróci. Po potężnych drzewach, na których znajdowały się gniazda myszołowów nie ma ani śladu. Zostawiam to za plecami, cóż innego można zrobić?

Dalej wzdłuż brzegu pokonuję dalszy dystans, by po około 9-10 km od domu osiągnąć kluczowe miejsce. To dotąd, przez blisko 20 lat docierałam najpierw z tatą a potem samemu. Oprócz boiska piłkarskiego to właśnie ten 10-cio kilometrowy odcinek był moim placem zabaw, moją siłownią, szkołą survivalu, adrenalina parkiem, poligonem i wszystkim innym. I choć wielokrotnie zastanawiałem się, co jest dalej, to jednak nie czułam wtedy wystarczającej potrzeby dalszej eksploracji, by wkroczyć w nieznany mi teren.

Dziś jednak mam coś, czego w latach 80-tych nie miałem – smartphone z mapami i GPS. Po sprawdzeniu mapy okazało się, że tylko dwa zakręty rzeki dzielą mnie od miejscowości, w której znajduje się most. Bez wahania więc wbijam w krzaki i nie bez wysiłku pokonuję ostatnie kilka kilometrów. Kiedy wchodzę do wsi, na odkrytych częściach ciała nie ma już u mnie miejsca bez poparzeń, pogryzień, przetarć i opuchlizny. Byłem nastawiony i ubrany na trekking w słońcu, a nie na wytyczanie drogi w jeżynach i pokrzywach.

Czuję się, jakbym przez ostatnie godziny plewił grządki na plantacji Barszczu Sosnowskiego. Oczywiście w krótkim rękawku i spodenkach.

Po przejściu mostem na drugą stronę rzeki wytyczam trasę powrotną. Nic skomplikowanego, po prostu będę się trzymał jak najbliżej brzegu rzeki, aż dojdę z powrotem do miasta i do najbliższej kładki. Idzie mi się dobrze i szybko. Całość trasy

na ten moment powinna się zmieścić w 30 km, więc nawet jeśli będę musiał jakieś miejsce obejść i dołożyć 5 km to dam radę.

Nie było jednak takiej potrzeby, ale to dzięki mapom w telefonie. W drodze powrotnej wspomagałem się nimi kilkakrotnie, kiedy straciłem kontakt z rzeką i szukałem przejścia przez mniejszą rzeczkę na mojej drodze. Po kilku kilometrach dotarłem do miejsca, które pamiętałem z dzieciństwa. Doszedłem tam wtedy zimą spacerując z psem, co zresztą nieco odbiło się na moim zdrowiu. Pamiętam z tamtych dni (zima 1995 lub 1996) dialog po dotarciu do zabudowań na obrzeżach wioski:

- Przepraszam panią, co to za miejscowość?
- Kubice, a skąd ty dziecko idziesz?
- Z Nysy.
- Rzeką?!
- Tak, ale już wracam.

Oprócz wspomnianej zimowej wyrypy dojechałem tu też latem normalnie rowerem, a i parokrotnie zdarzyło mi się też przejść lub przepłynąć rzekę. Nawet jako dziecko umiałem wyszukać odpowiednie miejsce, by dostać się na drugi brzeg bez zanurzania się pod wodę. Jeden nawet pamiętny raz rzekę przeszedłem w bród z 20 kilogramowym rowerem górskim, przez co zresztą znalazłem się w dosyć groźnej sytuacji.

Zatem teraz już byłem w znanym mi terenie, a eksploracja zamieniła się na żmudny marsz. Kilometry uciekały spod nóg jednak zaskakująco szybko i po niecałych 6 godzinach byłem z powrotem w domu, mając na koncie blisko 30 kilometrowy niełatwy odcinek.

Ból gardła przeszedł – wirus zdechł.